Laura Bellini



Gdy przestajesz się spieszyć

Nie trzeba dzielić wszystkiego, żeby być razem

Gdy przestajesz się spieszyć

Nie trzeba dzielić wszystkiego, żeby być razem

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384901489

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Granice na papierze 12
Rozdział 2 - Miejsce dla dwojga 25
Rozdział 3 - Kiedy grunt usuwa się spod nóg 38
Rozdział 4 - Rzeczy, których nie wpisuje się do kalendarza 47
Rozdział 5 - Prawo do własnego kroku 57
Rozdział 6 - Smak pierwszego pocałunku 68
Rozdział 7 - To, co zostaje po pocałunku 78
Rozdział 8 - W jego świecie 87
Rozdział 9 - Odwaga, żeby nie robić wszystkiego samemu 96
Rozdział 10 - Kiedy bliskość staje się wyborem 108
Rozdział 11 - Miejsce na własne życie 118
Rozdział 12 - Cena zaufania 128
Rozdział 13 - Nie wszystko jest na sprzedaż 138
Rozdział 14 - Prawda, której nie da się podzielić na pół 149
Rozdział 15 - Rachunek za wspólne życie 159
Rozdział 16 - Cisza między dwoma brzegami 170
Rozdział 17 - To, czego nie można zatrzymać 180
Rozdział 18 - Pierwszy krok bez warunków 189
Rozdział 19 - Dwa brzegi tej samej rzeki 199
Rozdział 20 - Gdy przestajesz się spieszyć 209

INTRO

Pierwszego poranka nad Sanem obudził mnie deszcz, choć prognoza obiecywała słońce. Krople uderzały o blaszany parapet z taką regularnością, jakby ktoś wystukiwał rytm, do którego nie zamierzałam się dostosować. Leżałam przez chwilę bez ruchu, patrząc na jasną smugę pod drzwiami sypialni. Telefon milczał, nie miałam zaplanowanych spotkań przed dziesiątą, a mimo to w myślach zdążyłam już przestawić trzy dostawy, zadzwonić do stolarza i poprawić układ obrazów na ścianie, której jeszcze nawet nie pomalowano.

Miałam pięćdziesiąt sześć lat i przez większość życia uważałam, że umiejętność przewidywania problemów jest zaletą. Dopiero niedawno zaczęłam podejrzewać, że czasem bywa sposobem na unikanie wszystkiego, czego nie da się zapisać w kalendarzu.

Wstałam, narzuciłam Iniany szlafrok i zeszłam do kuchni. Mały dom pachniał drewnem, wilgotną ziemią i kawą, którą przygotowałam wieczorem w metalowej kawiarce. Kupiłam go trzy lata wcześniej, kiedy moje małżeństwo ostatecznie rozpadło się na dokumenty, wyceny i rozmowy prowadzone przez prawników. Nieruchomość była niewielka, z krzywym tarasem i ogrodem, w którym stare jabłonie rosły według własnych zasad. Właśnie dlatego ją pokochałam. Nikt nie mógł mi powiedzieć, że powinnam urządzić ją inaczej.

Na stole leżał rozłożony plan letniej galerii.

Czerwonym ołówkiem zaznaczyłam miejsca na obrazy, zielonym przestrzeń dla gości. W dawnym salonie zamierzałam urządzić kameralną wystawę współczesnego malarstwa. Na tarasie miały odbywać się wieczorne

spotkania z artystami, a w ogrodzie stanąć kilka rzeźb odpornych na deszcz. Moja galeria w Rzeszowie działała dobrze, ale od pewnego czasu brakowało mi czegoś mniej przewidywalnego niż kolejne wernisaże, negocjacje i terminy transportów.

Tutaj chciałam znowu poczuć radość z tworzenia miejsca, a nie wyłącznie odpowiedzialność za jego utrzymanie.

Zadzwonił telefon.

Na ekranie pojawiło się imię mojej przyjaciółki, Marty.

— Powiedz, że jeszcze śpisz — odezwała się bez powitania.

— Od dwudziestu minut próbuję przekonać samą siebie, że odpoczywam.

— Czyli jesteś już ubrana i poprawiasz harmonogram.

Spojrzałam na czerwony ołówek w dłoni.

— Mam szlafrok.

— Niezwykły postęp. Słuchaj, rozmawiałam wczoraj ze Stanisławem.

Zatrzymałam rękę nad planem.

— Jakim Stanisławem?

— Irena, obie wiemy, że znasz tylko jednego, którego imienia udajesz, że nie pamiętasz.

Podeszłam do okna. Deszcz osłabł i nad rzeką unosiła się niska mgła. Po drugiej stronie brzegu drzewa tworzyły zieloną, nierówną linię.

Stanisław Jastrząb.

Nie widziałam go od prawie dziewięciu lat. Pamiętałam jednak jego spokojny sposób mówienia, cierpliwość, z jaką słuchał cudzych argumentów, i ten szczególny rodzaj

pewności siebie, który nie wymagał podnoszenia głosu. Poznaliśmy się jeszcze wtedy, gdy oboje byliśmy zajęci budowaniem życia z innymi ludźmi. Był architektem, człowiekiem o niezwykłym wyczuciu przestrzeni. Potrafił wejść do pokoju i od razu zobaczyć, dlaczego nikt nie chce w nim zostać dłużej niż kilka minut.

— Co u niego? — zapytałam ostrożnie.

— Ma sześćdziesiąt lat, nadal pracuje za dużo i podobno wreszcie nauczył się robić przyzwoite risotto. A poza tym zna kogoś, kto może pomóc przy twoim tarasie.

— Mam już wykonawcę.

— Który od dwóch tygodni nie odbiera telefonu.

Nie odpowiedziałam.

— Irena, nie musisz wszystkiego robić sama.

— Wiem.

— Nie brzmisz przekonująco.

Rozmowę zakończyłam obietnicą, że rozważę propozycję. Oczywiście zamierzałam najpierw zadzwonić do własnego wykonawcy, potem znaleźć drugiego, a dopiero na końcu przyznać, że Marta może mieć rację. Włożyłam telefon do kieszeni szlafroka i wyszłam na taras, żeby sprawdzić, czy woda znowu zbiera się przy drzwiach. Deski były śliskie, a pod jedną z nich coś niepokojąco zatrzeszczało.

Właśnie wtedy usłyszałam samochód.

Na wąskiej drodze przed domem zatrzymało się ciemnogranatowe kombi. Zza kierownicy wysiadł wysoki mężczyzna w jasnej koszuli z podwiniętymi rękawami. Miał siwe włosy, lekko potargane przez wiatr, i skórzaną torbę przewieszoną przez ramię. Przez chwilę stał obok

samochodu, przyglądając się domowi z uwagą, która od razu zdradzała jego zawód.

Rozpoznałam go, zanim odwrócił głowę.

— Nie mów, że Marta wysłała cię bez uprzedzenia — powiedziałam, kiedy podszedł do furtki.

Stanisław uśmiechnął się powoli.

— Dzień dobry również tobie, Ireno.

Był starszy niż w mojej pamięci, ale wiek dodał jego twarzy wyrazistości. Zmarszczki wokół oczu nie wyglądały na ślady zmęczenia. Raczej na dowód, że przez lata znajdował wystarczająco dużo powodów do uśmiechu.

— Marta nie ma prawa organizować mojego życia.

— Powiedziała mi dokładnie to samo. Dlatego nie przyjechałem na jej zaproszenie.

— Więc na czyje?

Wyjął z torby złożoną kartkę.

— Znalazłem twoje ogłoszenie o konsultacji architektonicznej dla tymczasowej przestrzeni wystawowej. Wysłałem odpowiedź wczoraj wieczorem.

Przypomniałam sobie wiadomość od pracowni podpisanej samymi inicjałami. Nie zdążyłam sprawdzić nazwiska właściciela.

— To trochę nieuczciwe.

— Że odpowiedziałem na ogłoszenie?

— Że wiedziałeś, kto je zamieścił.

— A ty nie sprawdziłaś, kto odpowiada. Wygląda na to, że oboje zaryzykowaliśmy.

Otworzyłam furtkę, choć nie zamierzałam jeszcze przyznawać mu racji. Stanisław wszedł na ścieżkę, zatrzymał się przy jabłoni i spojrzał w stronę rzeki. Nie mówił nic przez kilkanaście sekund. Pamiętałam, że kiedyś właśnie to mnie w nim drażniło. Ja wypełniałam ciszę decyzjami, on pozwalał jej trwać, dopóki nie zobaczył czegoś wartego powiedzenia.

— Piękne miejsce — odezwał się w końcu. — Ale taras wymaga więcej niż naprawy dwóch desek.

— Wiem. Dlatego szukam konsultanta, nie człowieka, który przejmie cały projekt.

Spojrzał na mnie uważniej.

— Nadal zaczynasz rozmowę od ustalenia, czego drugiej osobie nie wolno?

Poczułam ukłucie irytacji, ponieważ trafił zbyt blisko prawdy.

— Nadal próbujesz prowokować ludzi, zanim wypijesz kawę?

— Tylko tych, których dobrze pamiętam.

Przez moment patrzyliśmy na siebie bez słowa. Usłyszałam za plecami kapanie wody z rynny. Nagle uświadomiłam sobie, że stoję przed nim w szlafroku, z bosymi stopami w ogrodowych chodakach i włosami związanymi niedbale na karku. Nie czułam się jednak zawstydzona. Bardziej zaskakiwało mnie, jak łatwo wróciła między nami swoboda, której nie planowałam.

Zaprosiłam go do kuchni.

Stanisław zdjął mokrą kurtkę, starannie powiesił ją przy drzwiach i usiadł przy stole. Nie dotknął planów, choć widziałam, że chciał je obejrzeć. Zamiast tego poczekał, aż

sama przesunę arkusze w jego stronę. Ten drobny gest sprawił mi więcej przyjemności, niż byłam skłonna przyznać.

— Powiedz mi najpierw, czego nie chcesz zmieniać — poprosił.

Postawiłam przed nim filiżankę.

— Domu. Ogrodu. Charakteru tego miejsca. Nie chcę eleganckiego pawilonu udającego coś, czym nigdy nie będzie.

— A czego chcesz?

Wskazałam otwarte drzwi prowadzące na taras.

— Żeby ludzie przychodzili tutaj dla obrazów, a zostawali dlatego, że dobrze im się rozmawia. Żeby nikt nie musiał udawać znawcy sztuki. Żeby było trochę pięknie i trochę zwyczajnie.

Stanisław oparł dłonie na stole.

— To brzmi jak coś, co warto zrobić.

Nie powiedział tego tonem człowieka, który zamierza sprzedać mi usługę. Raczej jak ktoś, kto właśnie rozpoznał pragnienie, którego nie potrafiłam wcześniej tak prosto nazwać.

Po chwili rozłożył szkic i wskazał połączenie tarasu z salonem.

— Mogę ci pomóc. Ale pod jednym warunkiem.

— Słucham.

— Nie będziesz traktowała każdej mojej propozycji jak próby odebrania ci czegoś.

Odchyliłam się na krześle.

— A ty nie będziesz uważał, że współpraca oznacza prawo do decydowania za mnie.

Jego uśmiech stał się cieplejszy.

— Umowa.

Wyciągnął rękę nad stołem. Ujęłam ją, czując szorstkość palców człowieka, który mimo zawodu nie ograniczał się do rysowania planów. Uścisk trwał krótko. Wystarczająco jednak, żebym przypomniała sobie, jak dawno nikt nie patrzył na mnie z taką otwartą ciekawością.

Kiedy cofnął dłoń, spojrzałam na swoje starannie rozpisane zadania, na czerwone linie wyznaczające granice przyszłej galerii i na mężczyznę, który właśnie pojawił się w samym środku mojego doskonale uporządkowanego planu.

— Stanisław?

— Tak?

— Dlaczego naprawdę przyjechałeś?

Przestał się uśmiechać, ale nie odwrócił wzroku.

— Bo kiedy zobaczyłem twoje nazwisko, pomyślałem, że drugi raz nie chciałbym przegapić okazji, żeby cię lepiej poznać.

Za oknem deszcz ustał zupełnie. W kuchni zrobiło się cicho, a ja po raz pierwszy od wielu miesięcy nie sięgnęłam po kalendarz, żeby wypełnić tę ciszę czymś pożytecznym.

Patrzyłam na niego, świadoma, że mogę jeszcze sprowadzić wszystko do zawodowej rozmowy. Wystarczyłoby otworzyć kosztorys, wskazać kolejną ścianę, zapytać o termin.

Zamiast tego usłyszałam własny głos.

— A jeśli nie jestem już tą kobietą, którą pamiętasz?

Stanisław przesunął filiżankę na bok.

— Ireno, czy naprawdę myślisz, że przyjechałem szukać tej sprzed dziewięciu lat?

Rozdział 1 - Granice na papierze

Stanisław nie odwrócił wzroku, a ja odkryłam, że jego pytanie wymaga ode mnie większej odwagi niż wszystkie decyzje dotyczące galerii. Mogłam odpowiedzieć żartem, mogłam przypomnieć mu, że przyjechał rozmawiać o architekturze. Zamiast tego podniosłam filiżankę i upiłam łyk kawy, która zdążyła wystygnąć. Patrzył na mnie bez zniecierpliwienia. Nie wyglądał na człowieka oczekującego natychmiastowego wyznania, choć przed chwilą powiedział coś, co jeszcze godzinę wcześniej uznałabym za niestosowne.

— Nie wiem, kogo przyjechałeś szukać — odpowiedziałam. — Ale mam nadzieję, że naprawdę znasz się na tarasach.

Roześmiał się cicho.

— Zawsze umiałaś wybrać bezpieczniejsze pytanie.

— A ty najwyraźniej nie nauczyłeś się przyjmować odpowiedzi.

— Przyjmuję. Po prostu zapamiętuję również te, których nie dostałem.

Wstałam od stołu, zabierając plany. Nie dlatego, że chciałam zakończyć rozmowę. Potrzebowałam ruchu, jakiegoś zwyczajnego zajęcia, które przywróciłoby mi poczucie proporcji. Stanisław Jastrząb był dawnym znajomym, architektem i potencjalnym współpracownikiem. Fakt, że jego obecność zmieniała temperaturę kuchni, nie powinien mieć znaczenia dla żadnej z tych okoliczności.

Zaprowadziłam go do salonu, gdzie miała powstać główna przestrzeń wystawowa. Pokój był niemal pusty. Pod ścianą

stały trzy obrazy owinięte w ochronną folię, na podłodze leżały próbki kolorów, a otwarte drzwi tarasowe wpuszczały zapach mokrego ogrodu. Stanisław przeszedł powoli wzdłuż ściany, zatrzymał się przy oknie i spojrzał na sufit.

— Ile osób spodziewasz się podczas otwarcia?

— Czterdziestu. Może pięćdziesięciu, jeśli pogoda dopisze.

— A przy złej pogodzie?

— Wtedy wszyscy będą musieli trochę bardziej się polubić.

— Ireno.

Rozpoznałam ten ton. Nie był surowy, ale zawierał prośbę, żebym potraktowała pytanie poważnie.

— Trzydzieści osób w środku — przyznałam. — Reszta będzie musiała poczekać na tarasie pod zadaszeniem.

Stanisław zmierzył wzrokiem przejście.

— Tu potrzebujesz bezpiecznego połączenia obu przestrzeni. Obecny próg będzie przeszkodą, zwłaszcza jeśli ktoś porusza się z laską albo na wózku.

— Zaznaczyłam wymianę progu w kosztorysie.

— Wymiana samego progu nie rozwiąże różnicy poziomów.

Wyjął z torby niewielką miarkę. Obserwowałam, jak sprawdza wysokość między salonem a tarasem, a potem notuje wynik w zeszycie z ciemną okładką. Jego ruchy były spokojne i oszczędne. Nie próbował imponować mi wiedzą, nie opowiadał o swoich osiągnięciach. Po prostu zauważał rzeczy, których ja wcześniej nie dostrzegłam.

— Można poprawić dojście bez przebudowywania całego domu — powiedział. — Ale trzeba zacząć od konstrukcji tarasu, a dopiero później myśleć o ekspozycji.

— Właśnie takiego zdania nie chciałam usłyszeć.

— Wiem.

— Nawet nie próbujesz mnie pocieszyć?

— Mogę powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Tylko wtedy nie powinnaś zatrudniać mnie jako architekta.

Zatrzymałam się przy komodzie, na której rozłożyłam fotografie planowanych prac. Wśród nich znajdował się obraz młodej malarki z Przemyśla, Joanny Radeckiej. Przedstawiał kobietę stojącą przy otwartym oknie. Jej twarz pozostawała niewidoczna, ale sposób, w jaki opierała dłoń o framugę, mówił o oczekiwaniu więcej niż najbardziej szczegółowy portret.

— Chcę otworzyć galerię w pierwszy piątek lipca — powiedziałam. — Mam zaproszonych artystów, wstępne ustalenia z cateringiem i zainteresowanie lokalnych mediów. Nie mogę przesunąć wszystkiego tylko dlatego, że taras okazał się bardziej kapryśny, niż zakładałam.

Stanisław spojrzał na fotografię obrazu.

— Nie proponuję ci przesunięcia otwarcia. Proponuję sprawdzenie, czy termin jest realny.

— W mojej pracy terminy stają się realne, kiedy ludzie przestają szukać powodów, dla których coś się nie uda.

— W mojej pracy właśnie wtedy zdarzają się najdroższe błędy.

Odwróciłam się w jego stronę. Przez moment oboje milczeliśmy, ale nie było to niezręczne milczenie. Miałam wrażenie, że Stanisław świadomie pozwala mi zdecydować,

czy chcę kontynuować spór. Zadziwiające, jak bardzo potrafiło mnie to irytować.

— Nie zamierzam oddawać ci kontroli nad swoim domem — powiedziałam.

— Nie proszę o to.

— Ale już ustalasz kolejność prac.

— Bo jeśli mam podpisać się pod projektem, muszę mieć prawo powiedzieć, że jakieś rozwiązanie jest niebezpieczne. Nawet jeśli nie spodoba się właścicielce.

— Mogę zatrudnić kogoś innego.

— Oczywiście.

Wypowiedział to bez cienia groźby. Właśnie dlatego nie miałam satysfakcji z własnego argumentu.

Wyszliśmy do ogrodu, gdzie Stanisław obejrzał podpory tarasu. Schylił się przy jednej z nich, odgarnął mokre liście i wskazał fragment drewna, który pod naciskiem końcówki miarki zaczął się kruszyć. Poczułam nieprzyjemny ciężar w żołądku. Przez ostatnie tygodnie chodziłam po tych deskach z próbkami farb, telefonem przy uchu i głową pełną planów. Nie pomyślałam, że coś, co wyglądało solidnie, mogło w rzeczywistości wymagać natychmiastowej naprawy.

— Tego miejsca na razie nie używaj — powiedział.

— Aż tak źle?

— Nie wiem jeszcze, jak rozległe jest uszkodzenie. Ale nie będę udawał, że niewiedza oznacza bezpieczeństwo.

Przykucnęłam obok niego. Z bliska zobaczyłam ciemną linię biegnącą wzdłuż drewna i wilgoć pod warstwą starej farby. Stanisław przesunął się, żebym miała lepszy widok, lecz nie próbował mnie odsunąć. Wytłumaczył, co wymaga

odkrycia i sprawdzenia, a co można ocenić dopiero po zdjęciu kilku desek.

— Mogłabym zrezygnować z tarasu — powiedziałam.

— Mogłabyś. Tylko wtedy straciłabyś część tego, co sama przed chwilą nazwałaś najważniejszym.

Spojrzałam na rzekę. Za ogrodem San płynął spokojnie, jakby nie interesowały go ani moje terminy, ani koszty. Właśnie dla tych widoków kupiłam dom. Chciałam, żeby ludzie mogli wyjść z galerii, stanąć wśród drzew i przez chwilę patrzeć na wodę. Bez pośpiechu, bez obowiązku komentowania sztuki.

— Ile czasu potrzebujesz na ocenę?

— Dwa dni na oględziny i wstępną koncepcję. Potem będziemy wiedzieć więcej.

— Dwa dni to dużo.

— Wiem, że dla ciebie to niemal epoka.

Spojrzałam na niego ostro, ale uśmiechnął się w sposób, który odebrał tej uwadze złośliwość.

Do kuchni wróciliśmy z mokrymi butami i nowym problemem. Stanisław rozłożył przede mną szkic, na którym zaznaczył miejsca wymagające sprawdzenia. Chciał również zobaczyć instalację elektryczną w salonie i ustalić, jakie oświetlenie planuję nad obrazami. Przy każdym pytaniu odkrywałam, że moja wizja, choć piękna na papierze, potrzebowała jeszcze wielu konkretnych odpowiedzi.

— Możesz współpracować z wykonawcą, którego wybiorę? — zapytałam.

— Jeśli będzie kompetentny i zaakceptuje zasady bezpieczeństwa.

— A jeśli nie spodoba ci się jego sposób pracy?

— Powiem ci dlaczego. Ty podejmiesz decyzję.

— Pod warunkiem że nie będzie sprzeczna z twoją opinią?

Stanisław odłożył ołówek.

— Ireno, nie chcę wygrywać z tobą sporów. Chcę, żeby ludzie mogli bezpiecznie wejść na ten taras. To różnica.

Zawstydziłam się odrobinę. Nie dlatego, że był nieuprzejmy, lecz dlatego, że mówił rozsądnie. W moim małżeństwie zbyt często spokojne zastrzeżenia były początkiem długiej walki o władzę. Nauczyłam się odpowiadać, zanim druga strona zdążyła dokończyć zdanie. Po rozwodzie obiecałam sobie, że już nigdy nie pozwolę nikomu podejmować decyzji w moim imieniu.

Tyle że Stanisław nie próbował tego robić.

— Dobrze — powiedziałam po chwili. — Przygotujesz wstępną opinię, zakres prac i wycenę swojej usługi. Bez zamawiania materiałów i bez kontaktowania się z wykonawcami w moim imieniu.

— Zgoda.

— Wszystkie koszty zatwierdzam osobiście.

— To twój projekt.

— A jeśli uznam, że proponowane rozwiązanie jest za drogie?

— Poszukamy innego. Albo uczciwie powiem, że nie znam tańszego, które spełni wymagania.

Przez chwilę obracał ołówek między palcami. Potem spojrzał na mnie z wyrazem, którego nie potrafiłam od razu odczytać.

— Mam jeszcze jeden warunek.

Westchnęłam.

— Oczywiście.

— Nie będziesz udawała, że wszystko wiesz, kiedy czegoś nie wiesz.

— To dość bezczelna propozycja.

— Wiem. Ale mogę przyjąć podobną zasadę wobec siebie.

Przyglądałam mu się z niechętnym rozbawieniem. Po dziewięciu latach Stanisław najwyraźniej nadal potrafił znaleźć sposób, żeby wytrącić mnie z równowagi, nie podnosząc głosu.

— W takim razie i ty nie będziesz udawał, że zawsze masz rację.

— To będzie dla mnie trudniejsze, niż sądzisz.

Roześmiałam się, zanim zdążyłam się powstrzymać.

Około południa zadzwoniła moja pracownica z galerii w Rzeszowie, Natalia. Dostawca ram pomylił wymiary, a jedna z artystek chciała zmienić termin odbioru obrazów. Przez dziesięć minut rozmawiałam przez telefon, sprawdzając równocześnie wiadomości i notatki. Kiedy skończyłam, Stanisław siedział przy stole i przeglądał katalog wystawy, który wcześniej położyłam obok planów.

— Nie musiałeś czekać — powiedziałam.

— Chciałem zobaczyć, jak pracujesz.

— I?

— Nadal prowadzisz trzy rozmowy jednocześnie. Tylko teraz robisz to jeszcze sprawniej.

— To komplement?

— Obserwacja.

Zamknęłam laptop.

— Wiesz, co najbardziej lubię w swojej pracy? Że kiedy coś jest skończone, naprawdę mogę zobaczyć rezultat. Obraz wisi, światło pada dokładnie tak, jak chciałam, ludzie zaczynają rozmawiać. Przez kilka minut wszystko ma sens.

— A później?

— Później zaczynam planować następne wydarzenie.

Stanisław przymknął katalog.

— Może dlatego tak trudno ci zauważyć, że coś już się udało.

Jego słowa zatrzymały mnie skuteczniej niż krytyka tarasu. Nie odpowiedziałam od razu. W pamięci pojawił się ostatni wernisaż w Rzeszowie, udany wieczór, podczas którego zamiast rozmawiać z gośćmi, poprawiałam listę zaproszeń na kolejne wydarzenie. Pamiętałam również Martę mówiącą, że powinnam choć raz zostać na własnym przyjęciu do końca.

— Przyszedłeś projektować galerię czy analizować moje przyzwyczajenia?

— To drugie najwyraźniej robię bezpłatnie.

Uśmiechnęłam się mimo woli.

Stanisław zamknął zeszyt, włożył miarkę do torby i sięgnął po kurtkę. Nie próbowałam go zatrzymywać. Wiedziałam, że oboje potrzebujemy czasu, żeby przyjrzeć się temu nieoczekiwanemu spotkaniu z pewnej odległości.

Przy drzwiach zatrzymał się jednak i spojrzał na obraz oparty o ścianę. Była to niewielka praca Joanny Radeckiej,

przedstawiająca dwa puste krzesła ustawione obok siebie w ogrodzie.

— Ten obraz będzie na wystawie?

— Tak. Dlaczego pytasz?

— Bo krzesła stoją blisko, ale nie są zwrócone ku sobie. Patrzą w tę samą stronę.

— I co z tego?

— Nic. Po prostu podoba mi się ten pomysł.

Podeszłam bliżej. Sama wybrałam ten obraz ze względu na światło, ale nigdy nie zastanawiałam się nad ustawieniem krzeseł. Stanisław nie próbował nadać mu jedynego słusznego znaczenia. Pokazał mi coś, czego wcześniej nie zauważyłam, a potem zostawił mnie z własną interpretacją.

— Przyjadę jutro o dziewiątej — powiedział.

— O dziesiątej. O dziewiątej mam rozmowę z Natalią.

— Dziesiąta.

— I przywieź dokumenty, żebym wiedziała, za co płacę.

— Oczywiście.

Otworzyłam drzwi. Powietrze po deszczu było świeże, a między chmurami pojawiały się pierwsze jaśniejsze fragmenty nieba.

Stanisław stanął na progu i spojrzał na mnie z lekkim uśmiechem.

— Cieszę się, że odpowiedziałaś na moje pytanie.

Zmarszczyłam brwi.

— Na jakie?

— Czy naprawdę jesteś już inną kobietą.

— Przecież nie odpowiedziałam.

— Właśnie dlatego wiem, że tak.

Zanim znalazłam odpowiednią ripostę, ruszył w stronę samochodu. Zostałam w drzwiach, obserwując, jak ostrożnie omija kałużę przy furtce. Nie obejrzał się, dopóki nie otworzył drzwi auta. Wtedy uniósł rękę w krótkim pożegnaniu.

Wróciłam do domu i zamknęłam za sobą drzwi. Na stole wciąż leżały plany, teraz uzupełnione jego notatkami. Przez dłuższą chwilę patrzyłam na nierówne linie narysowane ołówkiem. Były praktyczne, pozbawione ozdobników, a jednocześnie zmieniały całą moją wizję.

Sięgnęłam po telefon, żeby zapisać termin następnego spotkania. Przy nazwisku Stanisława zawahałam się, zastanawiając, czy wpisać po prostu „architekt". Zamiast tego zapisałam jego imię i nazwisko.

Potem odłożyłam telefon i pozwoliłam sobie przez kilka minut nie robić absolutnie niczego.

Następnego dnia przyjechał punktualnie o dziesiątej, z dwoma katalogami materiałów i laptopem. Ja byłam przygotowana jeszcze lepiej. Na stole czekały dokumenty własności, plan budynku, zdjęcia instalacji oraz szczegółowy kosztorys przygotowany przeze mnie w poprzednim tygodniu. Włożyłam białą koszulę i ciemne spodnie, jakbym zamierzała przekonać samą siebie, że nasze spotkanie jest wyłącznie zawodowe.

Stanisław spojrzał na przygotowane dokumenty, a potem na mnie.

— Widzę, że mam do czynienia z poważnym inwestorem.

— Z bardzo wymagającym.

— Tego akurat nie musiałaś dodawać.

Tym razem nie odpowiedziałam zaczepnie. Wskazałam mu krzesło i usiadłam naprzeciwko. Przez ponad godzinę omawialiśmy zakres prac, możliwe rozwiązania i koszty. Zaskoczyło mnie, że nie próbował przekonywać mnie do najdroższych materiałów. Kilkakrotnie sam wskazywał prostsze rozwiązania, tłumacząc, dlaczego w niewielkim domu nad rzeką mogą sprawdzić się lepiej.

Kiedy zaproponował ograniczenie liczby punktów oświetleniowych, zaprotestowałam.

— Obrazy potrzebują światła.

— Oczywiście. Ale potrzebują również cienia. Inaczej wszystko będzie wyglądało jak w sklepie z lampami.

Przyjrzałam się jego szkicowi. Zamiast równomiernie oświetlać cały salon, proponował wyznaczyć kilka spokojniejszych przestrzeni, w których wzrok mógłby odpocząć.

— To mogłoby zadziałać — przyznałam.

Stanisław uniósł brwi.

— Czy mam zapisać datę?

— Nie przyzwyczajaj się.

Uśmiechnął się i wrócił do rysowania.

W południe mieliśmy już wstępny plan. Stanisław zamknął laptop i wyciągnął rękę po filiżankę. Zauważyłam, że wygląda na zmęczonego. Pod oczami miał delikatne cienie, których poprzedniego dnia nie dostrzegłam.

— Źle spałeś? — zapytałam.

— Trochę pracy wieczorem. Nic szczególnego.

— Nie wyglądasz na człowieka, który potrafi odpoczywać.